KURYEREK POZNAŃSKI.

No. 30. **Poznań, dnia 26. Lipca 1865.** **Rok I.**

Kuryerek Poznański wychodzi dwa razy na tydzień: w Środę i w Sobotę. — Prenumerata kwartału wynosi 22 sgr. 6 fen. Inseraty 1 sgr. od wiersza. Zamiejscowi pronumerować mogą w wszystkich pocztach w Prusiech i w księgarniach, cena 1 tal. 2 śrg. 3 fen. — Miejscowi w biórze redakcyi Kuryerka Poznańskiego ul. Strzelecka No. 1.

☞ Prenumeratę na **Kuryerka Poznańskiego** przyjmują: **Redakcya** ulica Strzelecka No. 1.; pan kupiec **Kirszenstein**, ulica Wrocł.; pan księgarz **Rejzner**, ul. Wodna i narożnik Garbar; pan prof. **M. Braun**, Garbary wielkie; pan kupiec **J. Affeltowicz**, Chwaliszewo; pan kupiec **Ciechowicz**, ulica Berlińska; pan cukiernik **A. Szpinger**, naprzeciw poczty; pan **Ernest Malade**, ul. Fryderychowska Nr. 19.; kupiec pan **P. Nowicki**, ul. Wrocławska Nr. 9.; również **wszystkie księgarnie zamiejscowe.**

Co teraz?

Dosyć jest wiedzieć, że nikt nie zagrzebie
Ducha swobody, chyba on sam siebie,
Bo własne tylko upodlenie ducha
Ugina wolnych szyję do łańcucha!

Byron.

Są w dziejach narodu — podobnie jak w życiu osobników — pewne chwile stanowcze, jakoby owe rozdroża herkulesowe, na których stanąwszy, śmiało jednę z ukazujących się drużyn wybrać trzeba i nią śmiało, wytrwale kroczyć do celu, do mety. Albowiem każden naród równie, jak pojedyńczy człowiek, wpośród innych narodów, ściśle ma zakreślone zadanie, posłannictwo, których, jeżeli samobójcą zostać nie chce, zaniechać nie powinien; zaniechanie takowe dla narodu znaczyło by tyle, co np. cofnięcie się wstecz biegu rzeki. Ale jeżeli kiedykolwiek naród który lub człowiek zapomni posłannictwa tego, natenczas te stanowcze chwile, sprowadzone przez wewnętrzne zmiany lub zewnętrzne okoliczności, winne surowym zawołać nań głosem, by go upamiętać, by go na drogę właściwą, zbawienną zwrócić. — . .

Chwilą taką stanowczą niezawodnie dla nas jest chwila obecna. Ostatnie powstanie z rzędu czwarty wybuch boleści porozbiorowego życia narodu — upadło. Liczne, wrogie nam okoliczności zewnętrzne — ale niestety może też i brak tego poświęcenia całkowitego, które jedynie tak wielkich, jak oswobodzenie ujarzmionego narodu, dzieł dokonać zdolne — niedozwoliły powstaniu w Królcstwie Polskiem pożądanego osiągnąć celu. Nie nam tu rozbierać krytycznie powody tego upadku, chociaż i to jest nader ważnem zadaniem — nasz zamiar w inną nas wiedzie stronę: zechcijmy rozważyć to wielkie pytanie, czego obecna chwila, t. j. dzisiejsze położenie narodu, a mianowicie bliżéj tyczącego nas działu, wymaga. —

Z mnóstwa nasuwających się w téj mierze spostrzeżeń niechaj mi wolno będzie dziś na wstępie potrącić o przedmiot, który, na pozór małoznaczny, w saméj rzeczy jednak bardzo wielkiéj jest wagi. Chcę mówić o żałobie narodowéj.

Kiedy przed kilku laty zaczęto nosić w Warszawie publiczną żałobę, wkrótce cały naród, wszystkie stany jego w wszystkich dawnéj Rzeczypospolitéj dzielnicach, ochoczo i zgodnie przywdziały szatę czarną. I słusznie! Naród od blisko wieku pozbawiony niepodległości, (1772) wymazany z liczby państw, w któréj przedtem jedno z najzaszczytniejszych miejsc zajmował, rozćwiertowany w końcu, naród taki czyliż ważnych do żalu, do boleści niezmiernéj nie ma powodów? Tem bardziéj jeżeli mimo klęsk tylu, pozbawiony tętna życia narodowego, po tylokrotnych usiłowaniach, oswobodzenia dostąpić nie mógł; że po każdym wysiłku takowym łańcuch niewoli cięższéj kraj przygniótł, świeże mogiły zapełniły nieszczęśliwą ziemię i tysiące braci szli zaludniać sybyrskie stepy lub pędzić żywot tułaczy; że w końcu szyderstwo i naigrywanie, jak przed kilku laty w Warszawie, po trzydziestoletnim ucisku, któremu równego nieznają dziejopisy, do ostateczności naród przywiodło! W takich pytam, okolicznościach, czy żal, boleść, żałoba, nie miała serc wszyskich przepełnić? A kiedy syn na próżno kołace w trumnę matki, lub płacze nad jéj grobem, czyliż się dziwisz, że popiołem posypie skroń, że żałobne przywdzieje szaty, że przed ółtarzem Bożym idzie szukać pociechy! —

Tak uczynili bracia nasi warszawscy — my poszliśmy za ich przykładem. I świat nie dziwił się, że mając powód do smutku, cieszyć się nie chcemy, lecz podziwiał i powszechne uwielbienie składał poważnéj narodu żałobie. —

A dziś co? Czy mniéj mamy do smutku powodów? Gdzież jest szczęście, które nas spotkało? Ledwo zabłysło na dalekim widokresie światełko nadziei, jutrzenka swobody, a otóż czarne chmury zewsząd się piętrzące zimną noc przywiodły! Falami krew braci zalała świętą ziemię ojców — zroszoną jak żadna inna, krwią swych dzieci — obrońców! Tysiące świeżych mogił spotyka łzę boleści zalane oko moje a pókój ich marzeń przerywa kajdan głuszący szelest! Tłumy braci pędzone w dalekie stepy północy, gdzie krwawa łuna zorzy połyska na śnieżnym, olbrzymim grobowcu narodu naszego — za nimi rozpaczające wlekły się matki, żony, siostry, pozbawione synów, mężów, braci — niewolnice rzucone na pastwę zuchwałych zwycięzców! Otóż drobny zarys okropnego obrazu, który chciałbym opisać ale łzy zalewają oko, drzy z boleści bezwładna dłoń . . .

Kiedy synowie Jakóba, przynieśli mu w krwi koźlęcia umaczaną suknię brata Józefa, którego sprzedali za dwadzieścia śrebrników, poznał ją od razu ojciec i rzekł: „To suknia syna mego." A rozdarłszy szaty swoje oblókł się w włosiennicę, płacząc syna przez czas długi. A gdy się zeszły wszystkie dzieci, aby ulżyć żalu jego, nie chciał przypuścić pocieszenia . . . .

A my po stracie matki — ojczyzny żałobni, dla czegoż składamy żałobę? Włożyliśmy ją z słusznych powodów, złożyć ją wypada, gdy tych powodów nie będzie. Ale dziś tysiączne powody nowych podwójną wdziać nam przykazują, ale nie pozbywać się dawnéj. Naprożno pytam rozumu, naprożno serca, nic nas nie uniewinnia. Poszliśmy wtenczas za przykładem Warszawy — z przekonania, ale nie z głupiego mody małpowania — dziś jéj przykład nas nie uwalnia, bo tam przemoc zdarła szaty żałobne, nam nie . . . .

Kto powie, że żałoba jest demonstracyą nieużyteczną i próżną, myli się bardzo. Żałoba serca nasze że zapełniać winna, temu i ten pewnie nie śmie zaprzeczyć, ale i zewnętrzne jéj oznaki tylko korzystne nam będą. Bo najprzód pytam, jakie z nich szkoda? A natomiast żałoba narodowa, publiczna przynależnym jest chołdem dla tych, którzy polegli w obronie ojczyzny — naszych braci; — potem żywym znakiem nieszczęścia naszego, tym sztandarem czarnym powiewającym z wieży miasta, w którem okropna Karara pochłania liczne ofiary; nakoniec ona nieustannie przypominać nam powinna, żeśmy bracia, żeśmy jednorodna dziatwa, kirem odziana po stracie matki rodzina, żeśmy winni i że to najświętszym obowiązkiem naszym z miłością nad jéj grobem podać sobie dłonie i „zestrzelić myśli w jedno ognisko i w jedno ognisko duchy!"

Na grobie.

Jakiś młodzian na cmentarny
Wszedłszy grób ukląkł na głaz,
A strój polski miał on czarny
I od łez zwilżoną twarz.

Skroń pochylił do mogiły,
I całował ziemię tą,
Z którój powstać nie miał siły
Tylko łkając zlewał łzą.

Usty szeptał — snać pacierze
W zamogilne światy słał,
Snać że w grobie tem ktoś leży,
Co najdroższem w życiu zwał!

Grudkę ziemi wziął z mogiły
I rzewnemi łzami zlał,
I na pierś skrył skarb ten miły
I jak listek cały drżał.

To znów chwycił głaz w ramiona,
Co na wieki żegnać miał,
To przyciskał go do łona,
Jakby z sobą zabrać chciał.

A gdy powstał dźwiękła zbroja,
A on znowu padł na głaz,
I wyjęknął: „Matko moja!
O! błogosław jeszcze raz:“

„Żegnam ciebie matko droga!..
Gdy ojczyznie spłacę dług,
Lub gdy padnę z ręki wroga,
To nas prędzy złączy Bóg!“

„Bo sierocie jak ja biednéj
Kiedy skrzepnie w wiecznym śnie,
Na téj ziemi ani jednéj
Nikt mi niepoświęci łzy“.

Hiszpanka.

Ciąg dalszy.

Fernando, ty jesteś aniołem! „rzekł Filip z zapałem zamilkł na chwilę.

— Więc rozumiesz wuju, że i to miasto możnaby łatwo iodzyskać?“ przerwała nakoniec milczenie Fernanda.

— Łatwo czy trudno, „odrzekł poważnie Don Filip. Wszakże Francuzi wykonali co chcieli, czemuż by i my nie potrafili wykonać, co zechcemy. Fernando,“ mówił dalej w uniesieniu hiszpan, „i ty wykonasz co zechcesz, skoro twem hasłem będzie. „Zguba Francuzom!

— Zaiste, to będzie hasłem mojem,“ rzekła z zapałem Hiszpanka.

— Przysięgnij mi zawołał Don Filip, przysięgnij Fernando moja, tutaj w obec tego nieba, téj ziemi rodzinnéj!

— Bóg jest świadkiem moim,“ mówiła uroczyście mężna dziewica podnosząc rękę ku niebu. „Przysięgam przekleństwo i zgubę wrogom.“

— Dobrze więc, „odpowiedział wuj z zadowolnieniem, zabiorę cię dzisiaj do naszych zgromadzeń, gdzie przysięgę te powtórzysz. Dzisiaj nie jest ono jeszcze tak liczne, ale ujrzysz tam zgromadzone duchowieństwo, panów i chłopów, bogaczy i nędzarzy, urzędników i rzemieślników niewiasty i dziewice, zgoła wszyscy co szlachetnie czują, łączą się z świętą sprawą naszą.“

Wierzaj mi Fernando, „mówił daléj Don Filip, wykonamy co przedsiębierzemy. W jednéj chwili wybuchnie powstanie w każdym klasztorze, w każdym pałacu, w każdéj chatce“ I to mówiąc rzucił ogniste spojrzenie dokoła, a potem dodał: „Dużo jest poświęconych mieczów i trucizny, mieczem poorać można wielkie pole, trucizną je zasiać. A teraz milczmy Fernando, bo czas nagli.“

I puścili się daléj nasi jeźdzcy mijając w szybkim galopie czarowne okolice Barcelony, aż się po dwugodzinnéj jeździe zatrzymali w ślicznéj wiosce Pireńe posiadłości Don Filipa.

Zaledwie, że wuj i siostrzenica byli zsiedli z koni gdy tą samą drogą, którą byli przyjechali, szedł spiesznie posłaniec a musiał mieć bardzo ważne nowiny, bo Filip ujrzawszy go wyszedł mu naprzeciwko. Posłaniec wskazał na swój lewy but a Filip zrozumiawszy znak jego zaprowadził go wraz z Fernandą do pomieszkania. Tutaj wydobył posłaniec papier z buta a Hiszpan przeczytawszy pismo oznajmił Fernandzie, że za godzinę wyjadą na posiedzenie narodowe.

Wkrótce potem przed dworkiem w Pirenée stały dwa osiodłane konie a Don Filip wraz z swą siostrzenicą dosiadłszy ich, opuścili spiesznie wioskę. Nasi jeźdzcy stanęli przed starym klasztorem, gdzie się zatrzymali przez chwilę, gdyż kilku zakonników przyłączyło się tam do nich.

— I Fernanda z tobą? zapytał jeden z ojców Franciszkanów Don Filipa; a dowiedziawszy się o co rzecz chodzi, pobłogosławił mężną dziewicę, szepcąc z cicha modlitwę o dobre powodzenie świętéj sprawy.

Wuj i siostrzenica pojechali daléj.

* * *

Pogodny dzień — na niebie ani chmurki, na ziemi lekki wietrzyk wieje przepełniony cudowną wonią ziół hiszpańskich. Wśród pięknego ogrodu w Pirenée wznosi się szwajcarski dworek ocieniony ciemnemi cyprysami i jaśniejszym rozmarynem. Opodal jest zabudowanie gospodarcze, ale dziś tam cicho; ani rzy konik, ani ryczy krówka, wszystko poszło na ofiarę ojczystéj sprawy. W ogrodzie kwitną kwiaty samopas, pieszczone chyba ognistem słońcem Hiszpanii, bo ta, co je pielęgnowała niegdyś, poszła walczyć za wolność matki ziemi.

W pobliżu na łące chodzi niespokojnym krokiem Don Filip, znać, że oczekuje kogoś. W oddali, gdzie ledwo oko zasięgnąć zdoła, połyskują bagnety przechodzących w te strony oddziałów nieprzyjacielskich.

— Ha! wy wszyscy wyginąć musicie, „rzekł ponuro sam do siebie Filip.

— Tak zginą, zginą może wkrótce,“ rzekło coś za nim, a gdy się obrócił, ujrzał znajomego zakonnika, który uściskał go za rękę.

Może wkrótce! Nie tak to mówiłeś czcigodny bracie? zapytał Hiszpan zapałem.

— Tak, „powtórzył ojciec Franciszkan.

— I w kimże tak żywą pokładasz nadzieję bracie?

— Nadzieję!“ mówił zakonnik. „Najpierw w Bogu, a potem w nas wszystkich. W téj chwili myślałem o Fernandzie. Właśnie co daliśmy jéj bardzo ważne zlecenie, ponieważ życzysz sobie Filipie, ażeby ją ciągle ojczystą zatrudniać sprawą. Ale proszę cię,“ dodał potem z wymówką, „pocóż nas tak naglić wiemy przecież co czynimy. Albożona nie poświęca się bez granic dla świętéj sprawy naszéj? Albożdniem i nocą nie przenosi najniebezpieczniejszych zleceń? Zaklinam cię Filipie, nie naglij nas więcéj.“

— Czynię to dla ważnych przyczyn, „odparł hiszpan, wszakże wiesz ojcze, że życzę sobie, ażeby zapomniała nieprzyjacielskiego rotmistrza!“

— Zapomnieć, zapomnieć Filipie! Miłość jest najpotężniejszem uczuciem w sercu człowieka, rzekł ponuro zakonnik.

— Ale gdyby Fernanda przez szczególniejszy czyn, wielką wyrządziła stratę Francuzom czyż on sam nie odwróci się od niéj? Lecz gdzież ona pozostaje! Musiałeś spotkać ją ojcze na drodze, bo miała wracać tamtędy.

— Nie pojmuję tego odpowiedział kapłan, „ale nie widziałem jéj nigdzie."

„Obawiam się, że pojechała odszukać w owych oddziałach, co tam tędy przechodziły, owego psa Francuza," rzekł Filip ostro.

— A gdyby tak było? mówił zakonnik poważnie.

— A gdyby tak było! — „powtórzył hiszpan ściskając gwałtownie dłonie Nie nigdy, nigdy nie uczyni tego Fernanda."

— Filipie! pomnij, że ona go kocha, „rzekł zakonnik. Twoją było powinnością gdy rotmistrz ranny leżał w waszym domu przez kilka tygodni zapobiedz temu. Pozwoliłeś mu odjechać, zabrać serce twojéj siostrzenicy — czemuż nie było się wpierw rozmyślić nadtem? Dzisiaj za późno." —

— Ha! czemu człowiek zaślepiony czasem! Czemu ma serce i czucie co go gubi?

— Filipie i możesz się dziwić twojéj siostrzenicy? Ty co już po trzykroć miecz topiłeś w łonie wroga, ty masz serce, masz czucie, a ona by go mieć nie miała? Twoją powinnością zgubić go, naszą powinnością, ale nie jéj Wierzaj mi, że przez to oziębisz tylko siostrzenicę dla ojczystéj sprawy! Więc z Fernandą rzecz skończona!

— A z nim?

„Z nim! to co innego. — Odszukaj, zabij, zgub go!"

I to mówiąc zakonnik z Filipem udali się do dworu oczekując niecierpliwie powrotu Fernandy — gdzie ona?....

Dalszy ciąg nastąpi.

Przejażdka z Poznania
do
Wiednia, Tryestu i Wenecyi.

przez M. Br....

(*Dalszy ciąg*)

Cyganie właśnie zwrócili całą naszą uwagę. Jest to ów słynny Zigeuner-Sekstett złożony ze sześciu dzielnych muzykusów z korpusu muzyki Arcyksięcia Franciszka Karola No. 52, a tak wgranych, iż zamknąwszy oczy ma się illuzyą, jakoby tylko jeden ktoś grał na ogromnych skrzypcach' od 24 stronach, mogących wydawać najgrubsze tony i najdelikatniéjsze toniki, a to naraz, w harmonii wielu głosów, i to nie brzmiących, sposobem strun metallicznych fortepianowych poruszanych uderzeniem, ale wydobytych ze strun animalnych przez delikatne pociąganie smyczkiem, tem narzędziem, które przez swój wynalazek skrzypce do tak wielkiéj wysokości podniosło.

Przy rzucaniu myślą ów sekstett i melodyczność skrzypc i ich harmonijność a bardziéj jeszcze harmonijność rozmaitych skrzypc złączonych w jednotę sekstettu, lub lepiéj jeszcze kwartettu, mimowolnie narzuca się przypomnienie, już teraz może nie dla wielu, kwartettów, Poznańskich słynnych wówczas w muzykalnym świecie Europy, a to zwłaszcza u ś. p. księcia Antoniego Radziwiła, Namiestnika królewskiego w Księstwie Poznańskiem, a bardziéj jeszcze u wielce zasłużonego o muzykę ś. p. Ignacego Wojkowskiego, Ojca znanego później redaktorstwem Tygodnika literackiego ś. p. Antoniego Wojkowskiego. Jakiż tryumf kiedyś dla kwartettu Wojkowskiego, nie tylko w pochwałach pism najcelniejszych we względzie muzyki, jako, „Leipziger musikalische Zeitung," „Thrun musikalische Reiseblätter," ale i w pochwalnem przyznaniu gwiazd muzycznych pierwszego rzędu jako Katalani, Paganiniego, Sivorego, Mazasa, Lipińskiego, Ant. Radziwiłła. Toż książę A. Radziwiłł, ów utworca Oratorium Fausta, gdy powrócił był pewnego razu z Wiednia i wylewał się w pochwały tamtejszych kwartettów, a daléj wezwał do zagrania naszych kwartettów, na odpowiedź, iżbyśmy Mu smak zepsuli, odrzekł iż wie, że tego tu żądać nie może, czego w Wiedniu od bahaterów muzyki Wiedeńskiéj doznał: gdyśmy Mu zaś zagrali kwintett Spohra z G-dur (skrzypce Ign. Wojkowski i Hofrath Szlegel, altówki Max Braun i A. prof. Raabski, wielonczellę Scigalski) najpierw oniemiał. a potem przyznał, przez wzgląd na prawdziwą jednotę, wyższość kwartettowi Poznańskiemu, nad Berlińskim Mosera, nad Wiedeńskim Majserda, gdy tam czterech lub pięciu wirtuozów, sadzących się jeden nad drugiego, grało, a tu jakby jeden, choć z pięciu członków złożony, jedną grał duszą. Bo też wszystkich łączyła przez kilkanaście, niektórych przez kilkadziesiąt, lat, nie tylko muzyka, ale szczery szacunek i prawdziwa przyjaźń, daleka od frymarskiéj obłudy, od czarnego oszczerstwa, które teraz tak często u niegodziwych pseudoprzyjaciół natrafić można. Tempora mutantur, et nos mutamur in illis! —

Aleź odwróćmy nasze lice, naszą myśl nawet, od takich nowożytnych pokrak, a wróćmy się raczéj do owego ślicznego sextettu w depote di vino styriaco w Tryescie. Jaka to też publiczność uczuciowa, godna dobréj muzyki, i wywołująca też dobrą muzykę! tysiące ludzi hałaśnych, roz-anku-rażowanych dobrem, a taniem, winem, przennem piwem, sorbetami, et hoc genus alia; a na jeden pociąg Prymiera, smyczkiem (nie kijem, czy tam laską, czy „taktyersztokiem!") już wszystko ciche, język nieruchomy, twarz jak martwa (ale nie umarłego na suchoty, tylko upiora); dusza tylko w ruchu, bo w niéj dystyllacya tego, co przez uszy wpłynęło. Pułkownik, o którym już powyżéj wzmianka, dowiedziawszy się że skrzypce mam w swéj mocy, i że mi nie łatwo kto w ich użyciu sprosta, poduszczony przez moich towarzyszy podróży, przypominających jakem kilka dni poprzednio grał w Wiedniu u Szperla, na wezwanie Osera, zastępcy Straussa, na czele jego muzyki, zaprosił mnie, abym również stanął na czele sextettu: jakoż wybrano stósowne noty i sextett zamienił się w septuor. Za każdym przestankiem okrzyki, poklaski, zwłaszcza podziękowania tych ślicznych officerów Kroatów (kapitan Marenie), Węgrów, Czechów; uniesienia żem się z tymi Czechami (boć nie z Cyganami w naszem tu rozumieniu) tak połączyć, harmonijnie do razu pojednać, zdołał; alež wszakże to Czechy nasi Bracia! — Uczucia te aż się wylały w Gazetę Tryestską, z d. 29 Lipca 1864, a z téj do Szląskiéj pod d. 5 Sierp. 1864, i innych.

Aby kto zawistny skłonny do wynajdywania w opowiadaniach, połączonych niekiedy z osobistością, żyłki przechwałkowéj, krwi sobie nie psuł, puśćmy już mimo owe melodye i harmonie; pójdźmy raczéj z ogrodu Styryjskiego na miasto. Jakaż radość, zwłaszcza przy 30 i kilku stopniach Reaumura, zoczyć stósy pomerańcz, uśmiechających się z rozpostartego prześcieradła złocisto-cielistem oczkiem do rozpalonego kabaliera! Bieżymy, wołamy „quanto costano sei piese?" „Czynke*) soldy, Seniora" brzmi odpowiedź. Wtykamy 5 nowych, chwytamy za pomerańcze, gryz! a tu przypomina nam się Bajka Krasickiego, ale nie bajka, „nie sądź nikogo po minie, bo się w sądzeniu poszkapisz.' Z wierzchu ładne, jak na bielidle różowana twarzyczka; w środku suche, wyczuczniałe, bez soku, fraszki owa gruszka znaleziona przez Hyona, co chciał połowę soku dać swojéj Recyi, a tu też w środku nic. Dobre pomerańcze idą do Poznania, itd. itd., i są do nabycia po składach, a te groszowe służą na przygryzkę do „il dolce farniente." Lepsze już figi, choć za nadto miękkie, i podobno świeże bardzo niezdrowe; pomidory, gruszeczki, i jakieś tam inne owoce. Zabawnie wyglądają ptaszki żywe, inne rozebrane jak do rosołu, inne jeszcze już upieczone, ale wystrojone śmiesznie pióreczkami z góry, z boków i stylu. Zachęcają nas do kupna ostryg po groszu „sono de Servota," do makaroni, do Dattoli mare, ryb z rodzaju kablionów (Pholodamia), wołają: „comparate Syniore;" my oglądamy, tniem po włosku, każdy selon son possible jak język nie wystarcza, to daléj na migi. Ale kto się w szkole u nas nauczył po łacinie, a może nawet i po francusku, to się we Włoszech, jak to mówią sprzedać nie da.

*) Zgodne z oryginałem.

Jeden z towarzyszy naszych, preceptor z Leszna, stał kwaterą w Locanda grande, w tym samym nawet pokoju, gdzie d. 8 Czerwca, 1768, sławny archeolog Jan Joachim Winkelmann, tyle zasłużony w wyszukiwaniu starożytności włoskiéj, przez Archangelego, którego był przez wiele lat dobrodziejstwy obsypywał, zabitym został: w tymże samym dniu 1864 roku zwiedziliśmy i Locandę i kamerę. Archangeli dawno, w swym czasie, po zabiciu swego dobroczyńcy, złote medale pokradł, i gdzieś podobno późniéj pod innem nazwiskiem bogatego Kręcickiego odegrał rolę; a nam zostawił filozoficzne spostrzeżenia nad ludźmi, co swoich dobrodziejów radziby zabić, jakby dla zatarcia moralnego długu, do którego i w złych ludziach czasem się serce poczuwa. Toć i Cicero już powiedział: haec est mala natura humana, ut illum oderis, qui tibi benefecerit.

Dalszy ciąg nastąpi.

Plan miasta Poznania z r. 1728.

Zdarzyła się nam miła sposobność widzenia w archiwum miejskiem na ratuszu poznańskim plan miasta Poznania z roku 1728 bardzo ozdobnie i starannie wykonany. Znając teraźniéjsze miasto, które naturalnie po upływie 140 lat — po tylu grasujących powietrzach, a osobliwie r. 1709 — po smutnych stratach, klęskach — oblężeniach za czasów Sasów (konfederacya tarnogrodzka 1716) po wycieńczeniach przez Szwedów — konfederacyach za Stanisława Augusta — ogniu, na początku tego stulecia, przemarszach kwaterunkach różnobarwnych wojsk Napoleona — po powrocie z Moskwy różnoplemiennych hord moskiewskich i tylu innych smutnych wypadkach, rozszerzyć, odbudować się musiało, a w najbliższych nam czasach na zakrój wielkich miast i ugazować i utroittorować i zniemczyć i zżydowieć się musiało — widząc mówię, dzisiajsze miasto, plan ówczesny z r. 1728 czytelnika zainteresować powinien.

Owczesne miasto na lewem brzegu Warty zajmowało zaledwie jedną trzecią dzisiajszego. Otaczał je ze wszech stron mur, którego szczątki widzimy jeszcze dziś rozbierane przy kościele Dominikanów; mury grube kościoła Katarzynek (skład rzeczy wojskowych) na ulicy wronieckiéj i na nowym rynku niedaleko c i e m n é j b r a m k i. Zróbmy przechadzkę około murów owczesnego Poznania, a zobaczymy go następnym. Po przejściu wązkiego drewnianego mostu chwaliszewskiego wchodziło się na garbary (nazwa od licznych garbarzy tu mieszkających) mające nad samą rzeką małe rozrzucone domki pod szkudłami, gontami, niekiedy tylko dachówką — z przeciwnej strony tych domków, tam, gdzie stoi kościół Dominikanów, odgraniczał stary, zapadający się w wielu miejscach mur miejski od samego miasta.

Na przeciw mostu chwaliszewskiego, przy samym wstępie na ówczesną ulicę wielką, (dzisiejszą szeroką) znajdowała się tak nazwana w i e l k a czyli c z e r w o n a b r a m a, zniesiona r. 1795; na ulicę wodną wchodzono przez bramę w o d n ą, od téj bramy szedł mur miejski, jak jeszcze są ślady ku c i e m n é j b r a m c e, okrążał tyły kollegium jezuickiego i kościoła farnego, dochodził do bramy wrocławskiéj, zamykającéj wstęp na dzisiajszą ulicę wrocławską. Ztąd szedł mur miéjski krzywą linią do rotundy — daléj przy klasztorze Teresek, obok dzisiéjszego kościoła greckiego, zaginał się w tył kościoła Franciszkanów, zaokolał dzisiejszy gmach sądu appellacyjnego (był to jedyny, obronny punkt w mieście) następnie spuszczał się z góry przerzynał dzisiajsze więzienie kryminalne, sięgał do klasztoru Katarzynek i łączył się z bramą w r o n i e c k ą. Brama ta była wielka, zamykała wejście na ulicę wroniecką, a zniesiono ją dopiero, jak wielu czytelników sobie przypomnieć może przed laty 20. Ztąd szedł, wzdłuż zwężonéj zarzuconéj prawie strugi, w tyły klasztoru i kościoła Dominikanów mur miéjski, zwracał się na garbary i złączał się ze znaną już w i e l k ą b r a m ą. Wszystko inne, leżące po za opisaną przestrzenią muru miejskiego, znajdowało się za miastem i nie wchodziło już w skład jego. Chwaliszew był osobnem miastem, osobny miał swój zarząd, swe prawa. Kościół Bernadynów, kościołek WW. Świetych, kościół ś. Marcina, ś. Wojciecha znajdowały się daleko za miastem. Gdzie dzisiajsza aleja, dom ziemstwa, poczta, była strzelnica miejska braci kurkowych, bractwa bardzo dawnego; tam gdzie dzisiajszy teatr miejski i plac parady wojska, był cmentarz żydowski. Dzisiajszy rynek nowego miasta, był ogrodem podskarbiego wielkiego koronnego Jana Przebendowskiego, daléj ogród Korytowskich. Wspomnieć jeszcze musimy, że około kościoła ś. Wojciecha, na K u n d o r f i e było kilka domków, stanowiących przedmieście — również około kościoła ś. Marcina lichych kilkanaście domków zwanych przedmieście St. marcinskie; między Bernardynami a kościołem Wszystkich Świętych nazwane przedmieście G a s k i dokończało wszystko co po za murami miejskiemi na planie z r. 1728 miasta Poznania dojrzeć można. Niejednemu z czytelników narzuci się pytanie, małe było miasto nasze, a jednak nasze całe, i my szczęśliwi? Niech na to czytelnik odpowie sam sobie.

Baśnie polityczne.

W Kolonii zebrani licznie deputowani dla niedyskrecyi policyi, wspólnego biednego obiadku zjeść nie mogą – a przy nieznośnym upale lody bez fety stopniały.

O nieporozumieniu gabinetów pruskiego i austryackiego w sprawie księstw zaelbiańskich wszystkie gazety ogólnie przemawiają, szczegóły układów pomiędzy Karlsbadem a Wiedniem pokryte tajemnicą.

Zerwaną nić układów między Rzymem a Florencyą bierze Francya przez delikatne paluszki cesarzowéj.

Poczciwą Warszawę przetraszył tajemniczy transport żelazną koleją z Petersburga, otoczony silną strażą kozaków. Risum teneatis były to drukowane blankiety papierów likwidacyjnych, przenaczone właścicielom za zniesioną pańszczyznę i czynsze. Głoski drukarń warszawskich mocno się przetarły pismami wzbronionemi musiano w stolicy cara drukować.

Rozmaitości.

Abdelkader, jak pogłoski szerzą w Paryżu, przyszły wice-król Algieryi, przejeżdżał w pośród rozlicznego tłumu przez pola elizejskie z orszakiem konnym swéj świty — on sam w pierwszym powozie z tłomaczem i posłem tureckim, w drugim pięciu adjutantów, czarnych Arabów w białych, fałdzistych burnusach, w trzecim dwie zakwefione szczelnie żony jego, przy nich biały niedźwiedź i hebanowa murzynka, w czwartym siedziało służebne plemie etiopów z należącemi do Emira i świty jego bagażów. Niedźwiedź siedział bardzo przyzwoicie jako cavaliero servante naprzeciw dam, które przez maleńkie okienka wystrzeżone przed okiem, oglądały sobie Paryż z wielkiem zgorszeniem Mahometa — niedźwiedź resztę przykazów proroka strzeże, zastępując eunucha wysadza damy z powozu i porządku w komnatach jako szambelan Emiroski pilnuje.

Mówiono często, że magistrat wiedeński potrzebuje najwięcéj rocznie papieru, bo liczba jego expedycyi dochodzi nieraz do 70,000. Jest on jednak liliputem w porównaniu z biórem oberpolic majstra warszawskiego. Mieliśmy w ręku expedycyą z jego bióra z liczbą 254,000 (w jednym roku). To się nazywa pisać! Ale też czy jest coś, coby nie przechodziło w Warszawie przez bióro oberpolicmaistra?! Ten biedak się napisze a jeszcze bardzo często podwojnem piórem, podwójną kredką. —

Nakładem i pod redakcyą Waleryana Kurowskiego. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha.